

Teksty Drugie 2014, 3, s. 335-347



Kilka uwag o słowach i literach

Adam Łukaszewicz

Przechadzki

Adam Łukaszewicz

Kilka uwag o słowach i literach

Pisanie jest fundamentem kultury – i o tym w zasadzie będzie tu mowa, aczkolwiek tylko niektóre aspekty tego złożonego zagadnienia zmieszczą się w szczupłych ramach niewielkiego szkicu.

Autor niniejszego tekstu miał kiedyś okazję wygłosić w siedzibie PEN Clubu laudację prof. Anny Świderkówny jako laureatki Nagrody im. Jana Parandowskiego. W tym wystąpieniu znalazły się następujące słowa:

[Dla Anny Świderkówny] pisarstwo naukowe jest po prostu pisarstwem. Więcej – jest pisarstwem ważniejszym niż tworzenie fikcji czy kreacji literackiej. W dzisiejszym świecie to właśnie naukowa literatura faktu, literatura prawdy, a nie fikcja, jest literaturą *par excellence*.

Naukowiec jest – a w każdym razie powinien być – literatem. Nie można bowiem nauki oddzielać od kultury, a kultury uważać za synonim jedynie widowisk, sztuk pięknych i fikcji literackiej. Jednak imaginacja tworząca fikcję, tak samo jak myślenie badawcze, czyli historyczne, jest częścią fizjologii człowieka. Nie jest dodatkiem do życia, dodatkiem, bez którego można się ewentualnie

Adam

Łukaszewicz – prof. dr hab., archeolog, papirolog, historyk staroż., prof. zwyczaj. w Instytucie Archeologii UW, kierownik misji archeologicznej w Egipcie, wiceprzewodniczący Komitetu Nauk o Kulturze Antycznej PAN, prezes Oddz. Warsz. Pol. Tow. Filologicznego, członek Institute for Advanced Study w Princeton. Opublikował m.in. *Świat papiirusów* (2001), *Egipt Greków i Rzymian* (2006), *From Thebaid to Alexandria* (2013). Kontakt: Adam. Lukaszewicz@adm.uw.edu.pl

obejść. Zarówno twory wyobraźni, jak i hipotezy badawcze są integralną częścią naszego bytu, taką, jaką dla psa jest węszenie i machanie ogonem. Tyle że nie każdy pies ma jednakowo dobry węch i nie każdy człowiek nadaje się na twórcę.

Nauka jest niewątpliwie bardziej pożyteczna od wymyślania fabuł, czyli (etymologicznie rzecz ujmując) bajek. Ale miara prostego racjonalizmu nie jest stosowna do oceny zjawisk z natury nieuniknionych. W każdym razie nawet gdybyśmy się bardzo starali, nie jesteśmy w stanie pozbyć się z życia literatury, tak samo jak nie pozbedziemy się nauki dążącej do celów ogólniejszych niż zastosowania praktyczne.

Skoro mowa o podstawowych zagadnieniach kultury humanistycznej, warto przez chwilę zastanowić się nad jej elementarnym tworzywem, nad budulcem twórczości zarówno naukowej, jak i literackiej. Tym budulcem są nie tylko myśli, ale i znaki graficzne stanowiące coś więcej niż pomocniczy środek techniczny.

Arystoteles określa człowieka jako zwierzę mówiące, *zoon logon echon*. Głos i dźwięk nazywają się po grecku *phone*. Natomiast „słowo”, czyli *logos*, to nie to samo co *phone*. Ale i to niezupełnie prawda, bo, jak się dziś okazuje, gęsi mają nie tylko głos, ale też mają swój język. Nasz „głos” jest spokrewniony z greckim *glossa*, „język”, chociaż *logos* niewątpliwie jest wyrazem pokrewnym, ale z przestawieniem spółgłosek. Grecki wyraz *logos* ma wiele znaczeń. Dzisiaj słyszy się go najczęściej w formie *logo*, a mówiąca tak młodzież (i nie tylko) zazwyczaj nie rozumie, że używa skrótu od wyrazu „logotyp”, który nie oznacza obrazka czy emblematu, tylko określony sposób pisania hasła lub nazwy firmowej. Dzięki logotypowi cały wyraz staje się znakiem, a więc swego rodzaju hieroglifem zawierającym treść zarazem ideową i fonetyczną.

Z logotypem spokrewniona jest ligatura i monogram. Monogram to nie tylko złożenie z dwóch liter, chociaż obecnie mylimy często monogram z inicjałami. Oczywiście inicjały można zapisać jako monogram. Monogram może jednak być kombinacją wielu liter i zapisem całego wyrazu. Raz odczytany, staje się odtąd symbolem rozpoznawanym nie na zasadzie rozplątywania zawilego rysunku, ale na zasadzie percepcji znaku jako całości.

Kultura, a nie mowa, stanowi *differentia specifica* odróżniającą człowieka od zwierząt. Chodzi o kulturę w rozumieniu cycerońskim: *philosophia cultura animi est*, „Filozofia to uprawa ducha”. Oznacza to właściwie, że pojęcia „kultura (duchowa)” i „filozofia” są synonimami. Ktoś przewrotny mógłby odwrócić przysłowiowego kota ogonem i twierdzić, że w takim razie to wszystko, co zwykle uchodzi za kulturę, jest zarazem filozofią. Ale to nieprawda, bo kultura, czyli uprawa (ducha), nie polega na biernym stosunku do uprawianej działki, na którą wiatr przynosi wszelkiego rodzaju nasiona.

Zakładamy, że zwierzęta nie mają filozofii. Ale już nie można powiedzieć, że zwierzęta nie mają pewnego rodzaju *pajdeja*, czyli „wychowania” stanowiącego grecki odpowiednik „kultury”, ponieważ zwierzęta mają obyczaje, których się świadomie uczą, a czasem nawet uczą inne istoty. W dodatku zwierzęta rozwijają się, doskonalą techniki wynikające nie z instynktu, a z edukacji. Stwierdzono to np. u bobrów. Jeśli dodać do tego estetyczny zmysł twórczy występujący choćby u samców altannika, rozwijany przez uczenie się młodych osobników od dorosłych, to sławetna różnica między człowiekiem a zwierzęciem niknie w oczach.

Dzisiejsza mentalność z trudem nadąza za tymi spostrzeżeniami, których ludzie dokonywali od dawna, choćby w kulturze staroegipskiej, ale ta kultura zaginęła, a jej osiągnięcia, mimo przejawów naszego zainteresowania, są w gruncie rzeczy lekceważone. Znaczna część ludzkości hołduje sposobowi myślenia, według którego przypisywanie zwierzętom tak zwanych cech ludzkich jest naiwne. Anglofoni mają nawet na to specjalny termin: *pathetic fallacy* – mniej więcej tyle co „politowania godny nonsens”. Termin ten sugeruje, że człowiek stoi wyżej od pozostałej przyrody, a kto myśli inaczej, ten jest żalonym głupcem. Nie wyklucza to oczywiście okazywania zwierzętom uczucia, a przynajmniej troski, co na szczęście staje się coraz bardziej kwestią elementarnej przyzwoitości.

Człowiek jest z natury irracjonalny. Grecy za jedną z cech człowieczeństwa uważali uleganie *ate*, czyli szaleństwu zsyłanemu przez boga. Możemy sobie zatem darować podejrzenie, iż Arystotelesowi przy definiowaniu człowieka jako „mającego *logos*” chodziło o *logos* w znaczeniu kalkulacji, a zatem, że rozumiał on człowieka jako *animal rationale*, czyli „zwierzę kalkulujące”, a przez to „rozumne”. Stopień irracjonalizmu u człowieka nie maleje z upływem historycznego czasu. *Constans* stanowi tylko spryt jako postawa adaptacyjna u niektórych osobników, ale i to również występuje u zwierząt. Gdyby natomiast wziąć pod uwagę jako cechę dystynktywną *logos* w sensie „rachunek”, bo jest i takie znaczenie tego greckiego wyrazu, to też będzie nieprawda, choćby dlatego, że i szympansa można nauczyć liczenia i rozpoznawania cyfr. Szympan (*Pan troglodytes*) to jednak leśny człowiek, nasz brat, a nie jakiś daleki kuzyn.

Od definicji człowieka jako mającego *logos* bardziej znana jest z Arystotelesa definicja człowieka jako *zoon politikon* (*animal sociale*): *ho anthropos physei politikon zoon*¹. „Człowiek to z natury zwierzę miejskie”. (*Przymiotnik politikos* ma wiele odcieni znaczeniowych związanych z organizacją społeczną). A więc o skłonności człowieka do życia w *polis* decyduje *physis* („natura”), ta sama, która jest czynnikiem determinującym zachowania społeczne zwierząt. W każdym razie nie jest to intelekt.

1 Arystoteles *Polityka*, I 1.9.

Elian (autor z okresu cesarstwa rzymskiego) pisze:

W Egipcie są tacy, którzy czczą krokodyle, jak ombici; i tak jak my wielbimy bogów olimpijskich, tak oni te zwierzęta”. „Ale apollonopolici, stronnicy tentyrytów, łapią krokodyle w sieci, wieszają na perseach – są to miejscowe rośliny (*sic! phyta*) – i chłuszczą okrutnie, chociaż one bite przez ludzi skomlą i płaczą, potem zaś zabijają je i spożywają”²

A więc zwierzęta, rzekomo *alogoj*, „pozbawione słowa”, czyli nieme, wyrażają uczucia, a nawet mówią o nich w sposób, który określamy jako nieartykułowany, ale jednak zrozumiały. Można to stwierdzić również na podstawie nieskomplikowanych codziennych obserwacji. Porozumienie i współpraca między gatunkami są zresztą możliwe nawet bez słów. Na przykład rybacy mauretańscy skutecznie porozumiewają się z delfinami za pomocą bębnow, a delfiny dobrowolnie współpracują z nimi jako nagonka napędzająca ryby do sieci.

W każdym razie nie upierajmy się przy ludzkim *par excellence* charakterze mowy, bo to nieprawda.

Może więc człowiek to raczej zwierzę piszące? Pismo jest cechą specyficzną ludzką, zwierzęta nie piszą, chociaż mają różne sposoby utrwalania informacji, o których ciągle nie wszystko wiemy. Istotą pisma jest zresztą czynność „zwierzęca”: skrobanie i drapanie – to właśnie mówi grecki czasownik *grafo* (ściślej: *grapho*, o temacie *grap-* powiązany z naszym *drap-*) i łaciński *scribo*, *scribere*, *scripsi*, *scriptum*, spokrewniony z naszym „skrobać” i „skrzypiec”. Wyraz „pisanie” natomiast oznacza w zasadzie malowanie, a wtórnie, i nie całkiem ściśle, rysowanie (oba ostatnie wyrazy są oczywiście niemieckie).

Jeśli za początek pisma uznać pojawienie się najstarszych znanych rozwiniętych systemów pisarskich w dolinach Nilu i Eufratu, to człowiek pisze zaledwie od sześciu tysięcy lat, niezwykle krótko w zestawieniu z historią gatunku liczącą miliony lat. Czym są jednak znaki używane w neolitycznej kulturze trypolskiej, zapewne wcześniejsze niż pierwsze znaki mezopotamskie, a także o wiele wcześniejsze od nich rozmaite nacięcia i znaki spotykane na zabytkach z okresu paleolitu? Amerykański badacz Alexander Marshack (1918-2004) ustalił systemowy charakter znaków paleolitycznych, przypuszczalnie związanych z kalendarzem – niestety mamy zbyt mało elementów, by w pełni zrozumieć ten system.

Znajomość pisma stanowiła przez tysiąclecia dowód uczoneści. Ale był w starożytności i negatywny stosunek do pisma jako wynalazku niszczącego pamięć, o czym czytamy np. u Herodota. Nie należy bezkrytycznie podzielać tego poglądu. Skądinąd poziom analfabetyzmu w starożytności był o wiele

2 Elian *De natura animalium*, X 21.

wyższy niż np. w średniowiecznej Florencji, gdzie prawie wszyscy umieli pisać. Czy byli dzięki temu szczęśliwsi od starożytnych, to już inna sprawa.

Pismo nie jest tylko instrumentem, ale i tworzywem literatury (literatura nazywa się przecież od liter, a po łacinie *litterae*, gen. *litterarum*, to między innymi nazwa piśmiennictwa i kultury).

Opowieści o niepiśmiennych twórcach literatury stały się popularne od czasu, kiedy rozpowszechniła się koncepcja o pierwotnie ustnym przekazie greckiej poezji epicznej. Sprzyjała temu teoria o *Iliadzie* jako heterogenicznym zbiorze opartym na rozmaitych przekazach poetyckich, którą sformułował François Hédelin d'Aubignac (tekst napisany w 1644 roku opublikowano w roku 1715), a usankcjonował w 1795 roku Fryderyk August Wolf. Skądinąd pewien holenderski uczonec w XX wieku twierdził, że tradycja ustna bez zapisu utrzymuje się nie dłużej niż przez pięć pokoleń. Nie miał racji, przynajmniej jeśli chodzi o taki przekaz ustny, w którym ważna jest treść, a forma nie odgrywa zasadniczej roli. Trudno jednak uwierzyć, by dzieła Homera nie były od razu utrwalone na piśmie.

Mogłoby się wydawać, że tworzywem literatury są myśli albo słowa, ale to, co widzimy na papierze lub na ekranie, to nie słowa, tylko litery. Dopiero po ich rozpoznaniu (a takie jest znaczenie wyrazu „czytać” – „rozpoznawać, odkrywać znaczenie albo wartość”), względnie po złożeniu, zebraniu (po łacinie *lego, legere* „czytam” a po grecku *lego* „zbieram” albo „mówię”) odnajdujemy wartość słowną pisma. Jednostką staje się sylaba (od grec. *syllabano* „zbieram”).

Geneza naszego alfabetu tkwi w fonetycznych znakach pisma hieroglificznego. Wczesne alfabety bliskowschodnie, które niejeden znak zapożyczyły z hieroglifów, stały się zaczątkiem pisma greckiego, a to z kolei zrodziło pismo łacińskie.

Oczywiście powtarzalność znaków jest warunkiem niezbędnym w każdym systemie zapisu. Zdaje nam się, że zapis mowy za pomocą niewielkiej liczby powtarzalnych znaków o określonej wartości fonetycznej to szczyt doskonałości. Jest to jednak tylko jeden z systemów, w dodatku obejmujący mnóstwo wariantów uzależniających zdolność czytania od znajomości języka.

Natomiast chińskie ideogramy mogą być czytane bez znajomości chińskiego, a Chińczyk i Japończyk mówiący różnymi językami, mogą się porozumiewać, pisząc. Jest to system oparty na znakach wyrażających pojęcia bez ich głośnego nazywania. To jakby komunikacja na poziomie idei, bezpośrednio do mózgu, subtelniejsza od wymawiania i składania w całość znaków fonetycznych. W każdym razie pismo, oznaka cywilizacji, nie musi bezpośrednio kojarzyć się z mową. Nawet w pismach alfabetycznych skupienia liter odczytywane są jako pewne całości, tak jak to jest w przypadku logotypu. Anna Świderkówna mówiła, że jej nazwisko odczytywano często „Świderska” – bo

czytano tylko początek, a resztę sobie „dośpiewywano”. Piszemy hieroglifami. Ważna jest rozpoznawalna całość wyrazu. Litery po utworzeniu zapisu wyrazu stają się nową całością. Moja koleżanka ze szkoły podstawowej przeczytała w drugiej klasie w jakiejś czytance „wziąć nogi za psa”. Jest to przykład błędu wynikającego z pobieżnego rozpoznawania całości wyrazu.

Najtrudniej jest odczytywać tekst uszkodzony, w którym nie rozpoznajemy od razu całych wyrazów.

Litery są nie tylko rysunkami, ale i bytami, którym przypisywano zdolność oddziaływania na ludzkie losy. Gdy zauważono, że grecka litera *theta*, która jako cyfra służyła do zapisywania liczby „dziewięć”, to zarazem pierwsza litera wyrazu *thanatos* „śmierć”, zaczęto niewinną literę posądzać o złe właściwości. W kontekście była nieszkodliwa, natomiast jako cyfra 9 niosła złą wróżbę. Unieszkodliwiano ją czasem, pisząc rozmyślnie „dziewięć” jako wyraz, a nie cyfrę.

Pismo greckie, pochodzenia semickiego, miało specjalny stosunek do samogłosek. W czasach hellenistycznych i rzymskich, w okresie żywiołowego rozwoju astrologii i wiedzy tajemnej, zaczęto siedem samogłosek A, E, H, I, O, Y, Ω traktować jako symbole siedmiu ciał niebieskich, ważnych dla astrologii, od których skądinąd pochodzą też zachodnioeuropejskie nazwy dni tygodnia. Samogłoski były też symbolami często stosowanymi w magii.

W pewnym filmie fabularnym dorosła analfabетка uczy się czytać i pisać na zasadzie porównywania nagrania dźwiękowego z zawartością książki. Taka metoda nauki z pewnością nie jest łatwa.

Inaczej jest wtedy, kiedy ktoś nam objaśnia zasadę pisma i ułatwia rozpoznawanie jego elementów. Podobno – nie pamiętam tego, gdyż miałem wówczas zaledwie dwa lata – kiedy moja matka pisała na maszynie, pytałem ją o poszczególne litery. Ucząc się w ten sposób, opanowałem umiejętność czytania i pisania liter drukowanych. Mój pierwszy zachowany podpis złożyłem wówczas majuskułą. Nie używałem natomiast kursywy, podobnie jak analfabетка z filmu. Kursywa elementarzowa, której wymagano potem w szkole, z początku bardzo mnie śmieszyła jako dziwne pismo. Tak czy inaczej, umiejętności czytania i pisania nie przestałem uważać za doniosłe osiągnięcie.

Na marginesie dodam, że maszyna do pisania była – nie tylko dla mnie – przedmiotem tajemniczym i magicznym. W tamtych czasach była nawet bajka dla dzieci o maszynie do pisania, z czego pamiętam nie treść, a kolorowe ilustracje. To wspaniały przykład fetysza i antropomorfizacji przedmiotu. Czy dzisiaj istnieje bajka o komputerze? Znam tylko jedną krótką i przerażającą przypowieść o komputerze, nienazywanym jeszcze komputerem, tzn. „liczydłem”, ale mózgiem elektronowym, napisaną przez Stanisława Lema jakies sześćdziesiąt lat temu i zawartą w jego wczesnej powieści pt. *Obłok Magelana*. Warto się z nią zapoznać, gdyż zawiera zachętę do refleksji nad sensem istnienia.

Analfabetyzm (także wtórny) był długo zjawiskiem często spotykanym także w społeczeństwach wysoko rozwiniętych. Kryptoanalfabeci pracowali nawet w biurach, umieli się podpisać i rozpoznawać różne elementy pisma. Dzisiejszy świat pozornie zwalczył analfabetyzm, co okazało się zjawiskiem złożonym. Z jednej strony niby otworzyło wszystkim dostęp do skarbnicy wiedzy i literatury, z drugiej umożliwiło domaganie się od każdego bycia konsumentem pism i skrybą. Względy poprawnościowe i prestiżowe nie pozwalają przyznawać się do niechęci wobec czytania i pisania. Kryptoanalfabetyzm z pewnością nadal istnieje. Pewną jego odmianę reprezentują ludzie, o których w Egipcie hellenistyczno-rzymskim mówiono, że są *bradeos graphontes* („powoli piszący”). Ludzie ci uczyli się kiedyś czytać i pisać, ale brak praktyki w pisaniu spowodował ograniczenie sprawności w tej dziedzinie. Oprócz „bradygrafii” istnieje także zjawisko, które można by nazwać „ajschrografią” (od grec. *ajschros* „szpetny”), rozpoznawalne w okropnym piśmie odręcznym, jakim się posługują niektórzy ludzie. Na szczęście są jeszcze nieliczni, którzy mimo nawyku pisania głównie za pomocą komputerów, potrafią jeszcze ładnie pisać odręcznie. Zjawiskiem osobnym są dysgraficy i dyslektycy. Być może ich dysgrafia i dysleksja stanowi czasem (choć nie zawsze) przejaw nieuświadomionego protestu przeciwko narzucaniu im naprawdę trudnej umiejętności pisania.

Ponadto istnieją nadal zwykli analfabeci, choć z pewnością są oni dziś stosunkowo nieliczni. Wystrzegajmy się jednak utożsamiania analfabetyzmu z niskim poziomem umysłowym.

Niektórzy analfabeci i półanalfabeci, aby przetrwać w piszącym społeczeństwie, korzystają niewątpliwie z pomocy innych osób. Przypomina to starożytny Egipt w okresie grecko-rzymskim. Władze wymagały tam od każdego składania rozmaitych oświadczeń na piśmie. Trzeba się było przy tym posługiwać językiem obcym, to znaczy greckim, wówczas międzynarodowym, oraz pismem alfabetycznym. Istniały liczne osoby, które potrafiły pisać po egipsku, a nie umiały po grecku, i odwrotnie. Liczba ludzi umiejących wówczas pisać jest stałym przedmiotem dyskusji egiptologów i papirologów. W okresie rzymskim nie przekraczała ona chyba 15% ogółu ludności Egiptu, w czasach faraonów mówi się o 1%, ale chyba było ich znacznie więcej. Ów hipotetyczny jeden procent odpowiada zapewne liczbie ludzi w pełni wykształconych; były jednak różne stopnie częściowego rozumienia pisma i stanu niedoksztalcenia przejawiającego się niepełnym rozumieniem tekstów.

Tak czy inaczej, nawet w zbiurokratyzowanym społeczeństwie starożytnego Egiptu analfabetyzm był normą, a znajomość pisma zjawiskiem elitarnym. W okresie grecko-rzymskim w Egipcie na każdym rogu ulicy, w bramach i podcieniach budynków publicznych i przed urzędami siedzieli pisarze, którzy pod dyktando pisali podania, deklaracje i umowy oraz tłumaczyli z egipskiego

na grekę. Własnoręczny podpis nie miał charakteru logotypu. Często było pisanie na dokumentach nazwiska za kogoś z podaniem własnego i formuły „napisałem za niego, ponieważ on nie umie pisać”.

Zauważmy, że skrajna elitarność pełnego wykształcenia nie przeszkodziła starożytnym Egipcjanom we wzniesieniu piramid i stworzeniu wspaniałej cywilizacji. Spostrzeżenie to dotyczy także innych wielkich kultur starożytnych.

Umiejętność czytania i pisania mogą istnieć rozłącznie. W niektórych miejscach na świecie zdarzało się jeszcze niedawno, że niewykwalifikowani robotnicy odbierający zarobki zamiast podpisu przybijali małą pieczętkę, ale wiedzieli gdzie ją przyłożyć, bo rozpoznawali na liście swoje nazwiska.

W pewnym papirusie z okresu późnorzymskiego w Egipcie występuje lektor działający we wczesnochrześcijańskim kościele w niewielkiej miejscowości, który w okresie prześladowań za Dioklecjana na początku IV wieku pod przymusem przedstawia władzom spis wyposażenia kościoła. Pod tym dokumentem podpisuje się ktoś za niego, gdyż lektor, czytający w czasie nabożeństw, jakoby nie umie pisać. By wytłumaczyć ten dziwny fakt, twierdzono, że lektor czytał po koptyjsku, a nie umiał po grecku, albo że funkcja lektora była czysto honorowa bądź że umiał tylko czytać, a nie pisać. Tymczasem wydaje się, że – odwrotnie niż postać ze wspomnianego wcześniej filmu, która straciła wolność i życie, bo **wstydziała się** przyznać, że **nie umie pisać** – ów pobożny mąż sprzed siedemnastu wieków ukrywa tę umiejętność i **kłamie**, że **nie umie pisać**. Nie chce bowiem własnoręcznie poświadczyć na piśmie przekazania władzom sprzętów „byłego kościoła”. Zmniejszy w ten sposób wymiar grzechu i uniknie potem zarzutu kolaboracji. Prześladowania w cesarstwie nie były bardzo częste, trwały krótko, a potem następowały w Kościele rozrachunki z tak zwanymi *lapsi*, „upadłymi”, którzy w momencie próby odstąpili od wyznawania wiary.

Możliwość funkcjonowania analfabety w społeczeństwie znajduje potwierdzenie w przypadku niektórych Europejczyków działających w krajach egzotycznych, którzy opanowali język miejscowy w stopniu wystarczającym do porozumiewania się, ale nie przebrnęli przez barierę pisma i znakomicie sobie radzą, wyrażając się innymi.

Warto zastanowić się jeszcze nad właściwościami pisma alfabetycznego. Niezliczone przykłady ilustrują brak ścisłości alfabetycznego pisma fonetycznego. Tu przytoczymy jedynie kilka oczywistych dowodów niekonsekwencji pisowni. Kiedyś znanym politykiem był Home, którego nazwisko wymawiało się nietypowo „Hjum”. *Nota bene* nie dla wszystkich ludzi mówiących po angielsku dom nazywa się *house*, ponieważ zdarzają się osoby ze znakomitym wykształceniem, którzy ten wyraz wymawiają jako „hajs”, co jest wymową niemiecką wyrazu *huis*, zapewne pozostałą z czasów Wilhelma Orańskiego. U nas nazwisko Roosevelt z reguły wymawiane jest „Ruzwelt”. Tymczasem

to znane nazwisko, holenderskie z pochodzenia, wymawia się prawie „tak jak się pisze”, w kontekście angielskim przeważnie „Rouzewelt”. Wymowa „Ru-zwelt”, chociaż zdradza niedostateczną wiedzę, ma jednak w intencji osób tak mówiących stanowić sygnał, że mówiący zna zasady angielskiej wymowy. To hiperpoprawność prowadząca w rezultacie do błędu.

Niedoskonałość wymowy wyrazów pochodzących z niektórych języków obcych jest coraz częściej tolerowana; na przykład w wyrazach francuskich słyszy się u nas często niepotrzebne wymawianie końcowego „r”. Niderlandzkie „sch”, poprawnie wymawiane tak samo jak po polsku, bywa – pod wpływem niemieckiego – traktowane jak ekwiwalent „sz”. Niektórzy u nas – może ze snobizmu – wstydzą się własnej ortografii i z tego powodu (albo z braku wiedzy) wolą pisać z angielska „sh” i wymawiać „sz” w takich wyrazach jak np. *Ashoka*, *sushi* czy *Fukushima*, kiedy mogliby po polsku pisać i mówić poprawnie „Asioka”, „susi” i „Fukusima”!

Nasze niby fonetyczne pismo wymaga zatem (zwłaszcza przy przekraczaniu bariery określonego systemu zapisu i tradycji wymawiania) pewnej apriorycznej wiedzy, bez której zapis zda się psu na budę.

Dobrym przykładem niejednorodności znaczeniowej zapisu alfabetycznego jest różnaitość wymowy wyrazów starogreckich w środowiskach uniwersyteckich różnych krajów europejskich.

Nawet poszczególne litery bywają nieprzejrzyste. Każdy wie, że nazwiska kończące się na „-ski” bywają w świecie zachodnim pisane przez końcowe „y”, ale już nie każdy wie, że jest to *de facto* zapis końcówki *ij*, właściwej raczej dla nazwisk rosyjskich. Grupa liter „ij” do dziś pisana jest niekiedy w języku niderlandzkim jako pozorne „y”, a *de facto* jako ligatura z *i* oraz *j*, w dodatku niekiedy z dierezą powstałą z obu kropek. Wymawia się to *ij* jako „ej”.

Uproszczenie ortografii było i jest nadal obsesją wielu społeczeństw. Pod pretekstem racjonalizacji, jest to przejaw myślenia magicznego. Upraszczając jedno, komplikujemy co innego. Język nowogrecki dysponuje pięcioma sposobami zapisywania dźwięku „i”. Nie można jednak zastąpić pisania *oi*, *ei*, *y* oraz *ety* zwykłą *jotą*, bo wtedy zerwie się związek współczesnej greki z trzema tysiącami lat tradycji zapisu.

Czytając po francusku trzeba na przykład wiedzieć, że *oignon* czyta się „onią” a nie „uanią”, bo z samej zasady fonetycznej to nie wynika. Francja, podobnie jak Niemcy, przeszła w XIX wieku umiarkowane reformy ortograficzne. Dawne formy francuskie przetrwały w angielskim: np. *connoisseur* przez „oi”, tak jak w Belgii stara ortografia flamandzka przetrwała u Wallonów (np. w nazwie *Schaerbeek*, pisanej przez *ae* tylko po francusku, a wymawianej przez frankofonów „Skarbek”)! Rosja rewolucyjna w 1918 roku uprościła pisownię, pozornie skracając męczarnie uczniów, ale i niszcząc związek swojej grafii ze starsłowiańskim. Polska odeszła w XIX wieku od pisania „a” i „e” z akcentem

(niekiedy), co doprowadziło do wtórnego zniekształcenia wymowy. Dziewiętnastowieczna pisownia z „y” stosowanym tam, gdzie potem pisano „j”, a obecnie „i”, budzi dziś czasem nieporozumienia fonetyczne.

W XIX wieku panowała u nas jednak względna swoboda ortograficzna. Pisarze mieli ponadto możliwość indywidualnego kształtowania języka, bez skrępowania normami narzucanymi przez redakcje i wydawnictwa, odwołujące się do arbitralnie ustalonych wzorców. O poprawności języka i pisowni decydował zdrowy rozsądek i tradycja, czyli wzory nieformalne. W istocie normy ortograficzne i wskazówki poprawnościowe są potrzebne, ale głównie dla celów edukacyjnych.

Kulminacja zapotrzebowania na reformę pisowni przypadła u nas na okres międzywojenny. Wyrazem tej potrzeby był nie tylko „nuż w bżuhu”, ale i reforma ortograficzna z 1936 roku, podobno przegłosowana – jak ścięcie Ludwika XVI – większością jednego głosu. Co to jednak za ortografia, w której imię „Jakub” pisze się przez „u”, a rzeczowniki „puchacz” i „puchar” przez „ch”? Przecież „Jakub” to *Jacobus*, grec. *Jakob* (przez omegę), „puchacz” to nazwa pochodząca od „puhania”, czyli charakterystycznego głosu tej sowy, a wyraz „puchar” pochodzi wprawdzie z arabskiego, ale tradycyjna pisownia wzięła się z węgierskiego *pohar*. Żuraw (kiedyś „żóraw”) nie ma etymologicznie nic wspólnego z żurem ani z żurawiną (te wyrazy wywodzą się z niderlandzkiego). To, że wyraz „dania” pisze się tak samo jak nazwa „Dania”, stanowi jednak chyba krok wstecz wobec dawnej pisowni. Ortografia z 1936 roku przyjęła się jednak i już się jej pewnie nie pozbędziemy.

Kontrowersyjnym zjawiskiem jest ingerowanie w ortografię tekstów staropolskich i wydawanie ich w uwspółcześnionej wersji, z pisownią zmienioną na obecną modłę. Jeśli w różnych przekazach tego samego tekstu występują *variae lectiones*, należy je uwzględnić w aparacie krytycznym i komentarzu. Wzorem ustalania tekstu powinny być zasady przyjęte przez filologów klasycznych dla tekstów greckich i łacińskich.

Arabowie nie odczuwają potrzeby zmiany swojego pisma, choć nie jest ono wcale łatwe, a samogłoski traktuje po macoszemu, jak wszystkie pisma semickie. Ale i w arabskim zdarzają się drobne innowacje, gdyż trzeba coraz częściej zapisywać wyrazy obce, arabski zaś nie ma dźwięku „p” ani „w”.

Coś innego stało się w grece, która od prawie dwóch tysięcy lat wymawia *betę* jak „w”, w związku z czym greka utraciła zapis dźwięku „b”. Niektórzy twierdzą nawet, że greka miała zawsze obecną wymowę. *Beta* to było rzekomo „w”, *eta* zaś to „i”. Tyle, że w pewnej komedii Arystofanesa owce becza „be, be!” (*beta-eta, beta-eta*). Jeśli mamy uwierzyć w odwieczność obecnej wymowy, znałoby to, że w starożytności greckie owce beczały „wi-wi!”.

Grecy poradzili sobie z zanikiem „B”, pisząc dzisiaj „MP” z wartością fonetyczną „b”, i dlatego bywalcy Hellady znają dobrze napisy ΜΠΑ wymawiane

„bar”. Mój nieżyjący kolega Zbigniew Borkowski musiał swoje nazwisko w Grecji pisać „Mporkowski”, bo inaczej zostałby Workowskim. Podobnie *delta* jest dziś wymawiana jak angielskie „th” w wyrazie *that*, wobec czego „d” zapisuje się literami NT.

W czasach archaicznych greka miała zaginioną literę *digamma* (od niej pochodzi nasze F), którą utraciła jeszcze w starożytności. Za to zyskała litery *phi* i *psi*. *Phi* czytano pierwotnie jak „ph”, a nie jak „f”. Kto pamięta film Felliniego *Amarcord*, może przypomni sobie groteskową scenę nauki wymowy pewnego wyrazu greckiego (czasownika w aoryście) zawierającego *psi*. Film ten zrodził się w atmosferze trwającego jeszcze wówczas w ojczyźnie reżysera lewicowego sprzeciwu wobec klasycznego wykształcenia i profesorskiej uczoności, więc i karykaturalne potraktowanie klasycznej greki miało wymowę ukłonu w stronę popularnego poglądu.

Od kiedy w starożytności późnohellenistycznej zaczęto AI czytać jak E, EI oraz OI jak I itd., pojawiła się konieczność innego zapisywania „prawdziwego” *aj, oj, ej*, wobec czego wprowadzono dwie kropki nad *jotą*, tzw. dierezę, dla zaznaczenia różnicy fonetycznej. Potem zaczęto tę dierezę pisać odruchowo także tam, gdzie nie była potrzebna. Tak narodziła się nasza kropka nad „i”.

Oprócz niekonsekwencji systemów fonetycznych mamy do czynienia z odmianami grafii. Trudno dziś u nas znaleźć entuzjastycznych czytelników książek nie tylko niemieckich, ale i polskich, drukowanych tzw. frakturą, czyli szwabachą, choć stanowi ona tylko drobne utrudnienie czytania. Znacznie gorzej jest z umiejętnością czytania niemieckiego pisma odręcznego. We wrześniu 1941 roku nakazano w Rzeszy zastąpienie pisma niemieckiego zwykłą łacińską antykwą. W Muzeum Gutenberga w Moguncji można zobaczyć zeszyt niemieckiego ucznia, w którym na początku września 41 zachodzi zmiana; zaczyna on pisać niezdarnymi literami, ale takimi, jakich i my używamy. Zmianę widać też w książkach.

Może nam się zdawać, że u nas od renesansu nic się nie zmieniło w kształcie liter, pomijając zaginione akcenty i użycie szwabachy, ale wystarczy pop spacerować sobie w pewnej podwarszawskiej okolicy, żeby zobaczyć całą serię kapliczek, figur i innych napisów, w których występuje litera Ł z przekreśloną hastą wcale nie pionową, ale poziomą! Daty mówią o połowie XIX wieku. Grafia ta okazała się jednak zjawiskiem efemerycznym.

*

Piszący te słowa uczył się czytać co najmniej dwa razy. Powtórna nauka czytania odbyła się na IV roku studiów, kiedy na seminarium pod kierunkiem wspomnianego dr. Borkowskiego nauczyłem się rozpoznawać litery na papierze z Egiptu. Tak z połowicznego analfabety nie znającego (prosiłbym mimo

wszystko o niełączenie „nie” z imiesłowem w jeden wyraz!) liter greckich, autor niniejszego stał się kimś umiejącym czytać, a następnie przez wiele lat uczył adeptów archeologii języka greckiego. Nauka zaczynała się od alfabetu, który można było objaśniać, odwołując się do liter rosyjskich. Potem alfabet rosyjski stał się mniej znany i już nie można tak łatwo powoływać się na *bukwy* pochodzące od greckich.

Pragnienie standaryzacji rodzi w naszych czasach pomysły o ujednoczeniu transkrypcji fonetycznej innych rodzajów pisma. Charakterystycznym przykładem tego zjawiska jest spotykana w praktyce bibliograficznej transliteracja rosyjskiego w kontekście polskim przy użyciu znaków (podobno) międzynarodowych. Czyżby przeznaczona była dla cudzoziemców czytających w kontekście polskim rosyjskie nazwy czy tytuły książek? Czy nie lepiej pisać fonetycznie po polsku według jakiejś konsekwentnej zasady oraz – gwoli pełnej precyzji – po rosyjsku? Chętnie dam się w tej materii przekonać do zmiany poglądu, jeśli wspomniana transliteracja jest naprawdę powszechnie stosowana w świecie piszącym alfabetem łacińskim.

Tendencja do poddania pisowni polskiej rygorystycznemu ujednoczeniu doprowadziła niektórych orientalistów do pisania (i sugerowania wydawnictwom pisowni) wyrazów arabskich w polskim kontekście według zasad fonetycznych języka tak klasycznego, że niekiedy rozmijają się one ze współczesną wymową. Zwłaszcza nazwy geograficzne przybierają w ten sposób postać niezgodną z utrwaloną tradycją, a niekiedy stają się trudne do rozpoznania nawet dla osób miejscowych przyzwyczajonych do innej wymowy. Należałoby chyba wprowadzić rozróżnienie między ścisłą transliteracją tekstów a pisownią wyrazów cytowanych w polskim kontekście, zwłaszcza nazw własnych mających długi żywot w naszej kulturze.

Równie kontrowersyjne jest to, co dzieje się grecką literą X („ch”), transkrybowaną na sposób zachodnioeuropejski. Używa się do tego celu „kh”), niby słusznie, bo istotnie greckie *chi* to aspirowana *kappa*. Jednak wymowa odpowiada naszemu „ch”. Mimo to niektórzy mają skłonność do wymawiania takiego „kh”) jak zwykłego „k”. Dotyczy to także innych niż grecki języków używających „ch”). Stąd jakieś „kaki”, czyli *khaki*, zamiast „chaki”) (nazwa koloru), co po persku znaczy „ziemia, proch”. Anglofoni w zasadzie tego *kh* nie potrzebują, bo mają „ch”), o którym wiedzą, że niekiedy się je wymawia jak „ch”), np. w szkockim wyrazie *loch*. Jednak ostatnio *kh* panoszy się wszędzie jako odpowiednik greckiego X oraz pewnego rodzaju arabskiego *ch*.

Pewien młody rodak pouczał mnie kiedyś w Egipcie, że nazwa oazy Char-ga pisana Kharga odpowiada miejscowej wymowie. Moje nieśmiałe protesty zignorował.

Zapis „cz”) jako cz jest stary jak świat i znany na Zachodzie choćby z nazwy Czech.

Holendrzy i Flamandowie potrafią, tak jak my, bez problemu wymówić grecki wyraz *schojnos*. My natomiast wymawiamy nazwisko malarza Jeroena Boscha z niemiecka jako „Bosz”. Niemcy dla odmiany piszą *Orthopädie* przez *ä*, co jest nieporozumieniem etymologicznym, ponieważ taki wyraz znaczy „prawidłowe wychowanie”, a nie „prosta stopa”. Łacińskie *ped-* pomyliło się z grecką częścią *paed-* występującą np. w *Enzyklopädie*, od grec. *pajdeja*.

W Polsce przy transkrypcji wyrazów greckich wstydzimy się użycia „j” i piszemy wszystko przez „i”, co powoduje chaos fonetyczny. W dyftongach greckich bowiem wymowa nie brzmi a-i tylko „aj”, nie e-i tylko „ej” i nie o-i tylko „oj”!

Starożytność nie znała dużych liter. Powszechne było pisanie bez przerw między wyrazami, czyli tzw. *scriptio continua*. Rozdzielanie wyrazów wymagało zatem pewnej wprawy w czytaniu. Dodatkowym utrudnieniem był brak znaków przestankowych.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na deformacje zapisu zmierzające do jego uproszczenia. Już w starożytności kursywne litery upodabniały się do siebie, a nawet zanikały. Całe wyrazy pisano niekiedy jako jeden nieczytelny zygzak, w którym wężykowata kreska zastępuje szereg znaków. Rozpoznawanie takich znaków opiera się na ogólnym wyglądzie całego znaku-wyrazu oraz na kontekście wskazującym na znaczenie. Stąd już blisko do zasady znaków tachygraficznych (dziś nazywanych stenograficznymi), znanych oczywiście już w starożytności. Taki zapis nie ma już właściwie wiele wspólnego z pismem fonetycznym, a nawet nie w pełni odpowiada cechom łatwo rozpoznawalnego logotypu, od którego zaczęliśmy te krótkie i z konieczności pobieżne uwagi o słowie i piśmie.

Abstract

Adam Łukaszewicz

UNIVERSITY OF WARSAW

Few notes on words and letters

The article analyzes some aspects of the relationship between writing and speech and the meaning of the writing as the cultural foundation. The author also addresses the notion of the humanist culture. Scholarship cannot, in his opinion, be separated from culture, while culture should not be considered a sphere of theater, visual arts and literary fiction. Though imagination which produces fiction is an integral part of human nature. This attribute of our psyche should not be eliminated nor depreciated. The author presents various problems from the history of writing, pointing among other things to imperfection of alphabetic writing and failures at the reform of inscription, especially inconsistencies of various spelling rules.